Rok 1900. Lwów, 9. grudnia Nr. 61.



TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. * * * * * * * * * Redakcya i Administracya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Treść Nr. 60:

Sanatoryum dla suchotników.

Narody nawet bytu politycznego pozbawione, dowodzą swej żywotności cywilizacyjnej wówczas, gdy odczuwają wielkie prądy nowoczesnych kierunków naukowych i społecznych, jakie się przejawiają wśród narodów wysokiej kultury i gdy w prądach tych usiłują czynny wziąć udział. Do takich wielkich a wpływowych zagadnień, wywołanych badaniami i doświadczeniami nad straszną plagą nowoczesnych społeczeństw, należy sprawa walki ze spustoszeniami w całym świecie, a również u nas grasującemi wskutek gruźlicy.

Gruźlica, to największy wróg ludzkości; żniwo, które zbiera, przeraża wysokością swej cyfry. Niestety Galicya w szeregu krajów koronnych monarchii austryackiej zajmuje pod względem liczby osób dotkniętych gruźlicą miejsce bardzo niekorzystne; oprócz miasta Wiednia (ze śmiertelnością 7·5 na tysiąc), tylko w jednych Morawach wynosi śmiertelność 6·8%, w Galicyi wynosi ona 6·7%, wszystkie inne kraje mają śmiertelność niższą. Według sprawozdania, przedłożonego przez protomedyka dra Merunowicza na IX Zjeździe lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie, w Galicyi umiera rok rocznie z gruźlicy i chorób zapalnych narządu oddechowego przeszło 45.000 osób.

We Lwowie prawie czwarta część wypadków śmierci przypada na gruźlicę. W Kasie chorych m. Lwowa w r. 1899 na 57.323 dni niezdolności do pracy było 9.870 dni, czyli 17%, przez gruźlicę spowodowanych, a na 70 członków tej Kasy zmarłych w r. 1899, 46 zmarło na gruźlicę. Cyfry straszne.

Nic więc dziwnego, że społeczeństwa chcąc zwalczać tego strasznego wroga, czynią wszelkie starania, aby, gdy nie można usunąć, to przynajmniej zmniejszyć wypadki gruźlicy, że wreszcie budują sanatorya dla gruźlicą dotkniętych, starają się przyjść z pomocą, wyrwać ich z uścisku choroby, która wprawdzie nie bardzo szybko, ale tem pewniej i tem częściej porywa ofiary i to przeważnie z ludzi młodych, od których społeczeństwo wiele domagaćby się mogło i którzyby społeczeństwu mogli swem życiem i pracą przynieść usługi.

Gdy usunięcie najważniejszego czynnika rozszerzania się gruźlicy: nędzy i wielkiego skupiania ludności w ciasnych izbach, jest prawie niemożliwem, gdyż musiałby je poprzedzić olbrzymi przewrót naszych stosunków społecznych, wstąpiono na drogę inną, bez wszelkich zmian i przewrotów społecznych dostępną, na drogę budowy sanatoryów dla gruźlicą dotkniętych.

Niemcy posiadają takich lecznic ludowych 49, w Austryi dolnej powstało niedawno sanatoryum w Allandzie, a u nas w Galicyi także już poczyniono kroki w tym kierunku.

Pierwszym z nich było założenie z inicyatywy dra Janiszewskiego „Towarzystwa budowy domów zdrowia dla dotkniętych gruźlicą“. Towarzystwo to postawiło sobie za cel gromadzenie funduszów na budowę lecznic takich w całym kraju. Piękny cel Towarzystwa pozostał atoli na razie w sferze ideałów, gdyż Towarzystwo dotychczas jeszcze się nie ukonstytuowało i funduszów nader mało zebrało.

Krok drugi, prowadzący wprost do zamienienia szlachetnego celu w czyn, uczynił prezydent m. Lwowa, dr. Godzimir Małachowski. Oto wierny swemu programowi, wypowiedzianemu przy obejmowaniu rządów w mowie, dr. Małachowski stara się działać wiele w kierunku społecznym i w istocie uczynił już bardzo wiele. Stworzył miejskie biuro pracy, które już w czasie krótkiego swego istnienia okazało się nadzwyczaj pożytecznem, nosi się z zamiarem urządzenia przytulisk noclegowych i kuchni ruchomych, a teraz wziął inicyatywę w sprawie utworzenia lwowskiego sanatoryum dla gruźliczych i jesteśmy pewni, że pod jego energicznem kierownictwem sprawa ta wkrótce ze sfery projektu przejdzie w czyn i niezadługo stanie sanatoryum, w którem znajdą pomoc i zdrowie setki ludzi, dotkniętych gruźlicą.

Myśl budowy sanatoryum dla gruźliczych poruszył wiec Kas chorych, który w roku zeszłym obradował we Lwowie i powziął odpowiednią uchwałę, wybierając do wykonania jej osobny komitet. Komitet ów przedłożył p. Małachowskiemu memoryał w tej sprawie.

P. prezydent rozejrzawszy się w tym memoryale, zając się gorąco poruszoną w nim myślą budowy sanatoryum, a chcąc nią zainteresować szerszy ogół naszego narodu, zaprosił we środę na posiedzenie przeszło 50 osób ze wszystkich sfer. Z zaproszonych przybyli pp.: prof. dr. Rydygier, prof. dr. Gluziński, protomedyk dr. Merunowicz, dr. Legeżyński, dr. Jasiński, prof. Thullie, dr. Pisek, E. Kolbuszowski, dr. Mahl, dr. Rucker, Bolesław Lewicki, dr. Pawlikowski, Nacher, Getritz, Besen, Ciuchciński, dr. Tatarczuch, dr. Sztembart, Neumann i dr. Stroynowski.

Obrady zagaił pr. dr. Małachowski. Wspomniał o spustoszeniach, jakie wyrządza gruźlica, podniósł, że obowiązkiem społeczeństwa jest radzić nad niesieniem pomocy chorym, dotkniętym gruźlicą i oświadczył, iż zaprosił zebranych w tym celu, aby zastanowili się nad sprawą budowy lecznicy ludowej dla gruźliczych i utworzyli w tym celu komitet.

Długa dyskusya wywiązała się na ten temat, czy zebrani mają się utworzyć jako osobny komitet dla budowy lecznicy dla Lwowa, czy też mają tylko poprzeć cele założonego przez dra Janiszewskiego „Towarzystwa budowy lecznic ludowych“

i działać w ramach statutu tego Towarzystwa. W końcu na wniosek p. Kolbuszowskiego uchwalono, iż zebrani ukonstytuują komitet dla budowy lecznicy dla Lwowa, a komitet, uznając wielką doniosłość i szlachetne cele Towarzystwa budowy lecznic, przystąpi do niego jako członek.

Przewodniczącym komitetu wybrano jednogłośnie dra Małachowskiego, jego zastępcą protomedyka dra Merunowicza, a sekretarzem dra Legeżyńskiego.

Następnie komitet na wniosek dra Małachowskiego uchwalił podzielić się na dwie sekcye: lekarską i administracyjną. Zadaniem pierwszej jest wyszukanie w okolicy Lwowa miejsca odpowiedniego pod budowę lecznicy i wypracowanie planów, druga zaś ma starać się o stronę finansową, o zebranie na budowę odpowiednich funduszów.

Obszerna, bardzo zajmująca dyskusya, której atoli dla braku miejsca podać nie możemy, wywiązała się nad dyrektywą, jaką komitet ma udzielić obu sekcyom dla ich pracy.

Uchwalono, iż założyć się mające sanatoryum ma być lecznicą ludową, w której chorzy przyjmowani będą za skromną opłatą, a część ubogich chorych zupełnie bezpłatnie. Lecznica ma być urządzona na 100 łóżek.

Uchwały te mają służyć za substrat dla obrad obu sekcyj, które rezultaty swych obrad mają przedłożyć pełnemu komitetowi, poczem na podstawie uchwał komitetu rozpocznie się energiczna akcya.

W skład komisyi lekarskiej weszli pp.: prof. Gluziński, dr. Jasiński, dr. Mahl, dr. Pawlikowski, dr. Pisek, prof. dr. Rydygier i dr. Sztembart; w skład komisyi administracyjnej pp.: Besen, Bolesław Lewicki, Nacher, Neumann, Rucker, dr. Stroynowski i prof. Thullie.

Tak więc położono fundamenty pod budowę wspaniałą, pod dzieło, z którego wielki pożytek spłynie dla społeczeństwa.

Pięknym tym zamiarom, szlachetnym celom, wołamy serdeczne: Szczęść Boże! Niech akcyę komitetu uwieńczy jak najpomyślniejszy skutek, i daj Boże, żeby już wkrótce stanęło pierwsze sanatoryum w Galicyi.

E. K.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Z ziem polskich.

W Wielkopolsce zanosi się na nowe ustawy wyjątkowe przeciw Polakom. Pisma półurzędowe wystąpiły naraz z artykułami, biadającemi nad wzrostem liczebnym ludności polskiej, nad utwierdzaniem się dobrobytu ekonomicznego wśród polskiego ludu, nad mnogością organizacyi polskich pod zaborem pruskim i t. p. Doświadczenie uczy, iż po takich artykułach pojawiają się zazwyczaj nowe ustawy wyjątkowe przeciw Polakom i prasa wielkopolska nie łudzi się co do najbliższej przyszłości. Podobno rząd chce ograniczyć prawo nabywania ziemi przez włościan polskich i wogóle utrudnić byt wieśniakom. Gdy się zważy ogromną świadomość narodową chłopa wielkopolskiego, maleją obawy o skutek zamierzonych, nowych gwałtów. Ze szlachtą było łatwiej, ale ludu chyba nie połknie już moloch hakatystyczny.

Na razie jednak mamy już do zapisania cios jeden. W Turyngii, gdzie tysiące robotników polskich pracuje w kopalniach, wzbroniono przebywać polskim duchownym, ażeby pozbawić Polaków nabożeństw w języku ojczystym. Jakież to marne!

Ciekawe zwierzenia.

Pisząc o skonie Imeretyńskiego, *Kurjer Poznański* opowiada ciekawe szczegóły z polityki rosyjskiej:

„W początkach stycznia b. r. przybył do Krakowa jeden z poważnych obywateli zza kordonu.

„Jechał z Petersburga i wiózł wieść dziwną, która silnie wzruszyła nieliczne grono osób, wtajemniczonych przez dalekiego gościa w jego nowinę.

„Oto według jego relacyi zaczęto się nad Newą przypatrywać kwestyi polskiej z odmiennego, jak dotąd, stanowiska.

„Przedłożono carowi znaleziony wśród papierów Milutyna memoryał o stosunku rządów austryackiego i pruskiego do narodu polskiego, przez szereg wniosków i poglądów w sprawie zachowania się rządu rosyjskiego wobec kwestyi ogólnej polskiej.

„Car memoryał ten przeczytał i zarządził tajną ankietę, do której zawezwany został między innymi także generał-gubernator warszawski, książę Imeretyński, oraz ambasady rosyjskie w Berlinie i Wiedniu, konsulaty nadgraniczne i szef departamentu prasowego w ministerstwie spraw zagranicznych.

„Podstawami do badań były:

„1) Dawna akcya hr. Kalnokyego, dążąca tak przez prasę austryacką, jak i innemi drogami do wywołania największej przyjaźni do Rosyi wśród Polaków galicyjskich i wśród tych, którzy żyją pod berłem rosyjskiem.

„2) Stanowisko i zachowanie się rządu niemieckiego w sprawie stosunku polsko-rosyjskiego.

„3) Kwestya ruska w Galicyi oraz stanowisko Koła polskiego w Wiedniu i opinii publicznej w Galicyi w stosunku do Niemców austryackich, po upadku hr. Badeniego, jak nie mniej stosunek Polaków pod rządem pruskim do żywiołu niemieckiego.

„4) Wewnętrzne objawy opinii polskiej w Królestwie i prowincyach zabranych.

„Rezultat tej ankiety był następujący: Dla rządu rosyjskiego wskazanem jest obecnie i pożytecznem dążenie ku pozyskaniu sobie wpływowych głosów polskich z obu stron kordonu, uczynienie w własnym zakresie działania odpowiednich zarządzeń, któreby w całej prasie polskiej wywołały silny ruch antigermański.

Parlament włoski.

W parlamencie włoskim wygłosił w ostatnich dniach minister finansów Rubini swoje exposé, w którem omówił obok innych rzeczy także finansowe i ekonomiczne położenie kraju. Minister zapowiedział cały szereg zamierzonych przez rząd reform w dziedzinie gospodarczej, do których wnioski są już nawet w większej części wygotowane. Exposé swoje zakończył Rubini zapewnieniem, że położenie finasowe ze względu na budżet jest w istocie dobre. Mimo to jednak należy unikać zaciągania nowych długów, gdyż do przeprowadzenia jakichkolwiek reform trzeba wpierw podnieść kredyt i zaufanie w kraju.

Z Chin.

Sprzymierzeni przedsiębiorą ciągle mniejsze ekspedycye w okolice Pekinu, a to w tym celu, ażeby rozproszyć i zgnieść do reszty wałęsające się jeszcze tu i ówdzie niedobitki band bokserskich i muroderów chińskich. Najwięcej czynni są tutaj Niemcy. Dzień w dzień po kilka oddziałów, złożonych z 30-100 żołnierzy niemieckich, wychodzi z Pekinu na tego rodzaju ekspedycye. Wogóle jednak, jak donosi z Tientsinu „Standardt“, wojsko niemieckie w Chinach bardzo cierpi z powodu ostrej zimy, jaka tam tego roku panuje. Wskutek niewygód i zimna śmiertelność wśród Niemców wzrosła w ostatnich czasach. Ten sam dziennik otrzymał z Szangaju wiadomość, że dwór chiński niedługo wróci do Pekinu, Wicekról w Wuczang, Tuhang-Czi-Tung dostał z Singanfu depeszę, która zarządza zastanowienie dalszej wysyłki żywności do prowincyi Szensi. Cesarz podobno zaraz wróci do dawnej stolicy, a niebawem ma podążyć za nim także cesarzowa-wdowa.

Wojna w Transwaalu.

W ostatnich czasach Boerowie zgromadzili swoje siły zbrojne przeważnie w pobliżu granicy kaplandzkiej, prawdopodobnie w tej nadziei, że ich zasilać będzie przyjaźnie usposobiona ludność holenderska zamieszkująca kraj Przylądka. Boerowie dzielą się na kilka komend, którymi dowodzą De Wet, Herzog, Viljoens i Crasmuss. Dowódzcy ci zjawiają się na czele swych oddziałów najczęściej tam, gdzie się ich nikt nie spodziewa, napadną Anglików, przyprawią ich o pewne straty i znów znikają, jak gdyby pod ziemię. Zwłaszcza De Wet mimo wszelkich usiłowań Anglików, dotąd uwija się cało i każdego dnia niemal stacza z następującym na niego jenerałem angielskim krwawe potyczki. Lord Kitchener, który 30 z. m. objął naczelne dowództwo nad armją połudnowo afrykańską, donosi z Bloemfontein, że jen. Beyerberg i zmusił ją do odwrotu, ale dopiero po dwugodzinnej zażartej walce.

Juljusz Fałat.



KRASAWICA.

Gustaw Bromberg.

Z SOCYOLOGII.

(Ludwik Kulczycki. Zarys podstaw socyologii ogólnej. Lwów 1900).

Nakładem Gubrynowicza i Schmidta wyszła tego roku książka, traktująca o kwestyach, nieznanych prawie zupełnie szerszym, nawet inteligentnym kołom społeczeństwa. Poważnie, choć popularnie napisana socyologia nie może u nas — gdzie się tak mało czyta, a mniej jeszcze kupuje — liczyć na wielkie rozpowszechnienie, bo umiejętność to mało znana i dotąd „jeszcze nie modna".

Autor widocznie przeczuwał, że z tej beczki można naszym czytelnikom tylko homeopatyczne dawać dozy i nazwał swą książkę „zarysem" „podstaw socyologii ogólnej", a więc zawarł w tytule aż trzy określenia na skromność rozmiarów i dyspozycyi swego dziełka. I doprawdy z podziwienia godną zwięzłością przedstawił na 265 stronicach treść, która wygodnie chyba w dwóch tomach obszernych ledwo mogłaby się pomieścić.

Określiwszy w części pierwszej przedmiot i metodę socyologii, poświęca części drugą, trzecią i czwartą omówieniu naczelnych zagadnień tej umiejętności, a w części piątej i ostatniej omawia praktyczną jej stronę, przeciwstawiając ją, jako naukę obstrakcyjną polityce, jako sztuce zastosowawczej.

„Socyologia jest nauką o typowych grupach i związkach społecznych, o zachodzących wewnątrz nich i między niemi typowych stosunkach społecznych". Bada więc zjawiska życia społecznego w ich jednolitości i typowości, a pomija szczegóły i indywidualne różnice między zjawiskami, oraz nie wysuwa jakiegoś specyalnego punktu widzenia np. prawnego, lub ekonomicznego na czoło swych badań, lecz podpatruje zjawiska wszechstronnie i syntetycznie.

Pośród ludzi, którzy wymagają od nauki zdolności do bezpośredniego praktycznego zastosowania, ma socyologia wielu przeciwników, bo nie chce i nie może być termometrem zmian społecznych i nie daje bezpośrednich wytycznych i wskazówek do działania społecznego. Przeciwnie, socyologia ma tem większą wartość, im dalszą będzie od publicystyki. Mimo to nie brak jej racyi bytu. Tylko krótkowidze mogą twierdzić, że felczer mający pewną ilość wiedzy praktycznej warta tyle, co lekarz wykształcony teoretycznie.

Z drugiej strony są znowu między zwolennikami socyologii tacy, którzy zbyt ściśle wierzą prawom życia społecznego przez socyologię zdefiniowanym i próbują na nich budować, niepomni, że nauka ta abstrahuje przy wykrywaniu prawidłowości zjawisk od specyalnych warunków, wśród których zjawiska zachodziły, a które w życiu praktycznem bardzo często decydują.

Materyałem dla socyologa są dane historyczne i etnograficzne, z których przez porównanie wysuwa się prawidłowość. Dlatego metoda socyologii jest historyczno-etnologiczno-porównawcza.

Przyznawanie w tej nauce wysokiego znaczenia psychologii i biologii uważa autor za jałowe, bo socyologia bada naczelne zjawiska życia społecznego, a w nich wagę mają jedynie ogólne właściwości i sprężyny duszy ludzkiej i bo analologia z biologii przez swój powab łatwo uwodzą do głoszenia pięknie brzmiących a mało znaczących komunikatów, które miasto wypuklać, właśnie zacierają odrębną charakterystykę zjawisk społecznych.

Jak wspomniałem, podzielił autor omówienie zagadnień socyologii na trzy części, z których pierwsza, opisowa, jest niby morfologią naczelnych form życia społecznego w ich historycznem następstwie, druga niby mechaniką życia społecznego, badającą typowość i sprężyny zmian społecznych — a trzecia bada organizm społeczny w jego zawisłości od komórek z których się składa, t. j. stosunek jednostki do społeczeństwa.

Autor wychodzi ze założenia, że człowiek był od początku zwierzęciem towarzyskiem i żył gromadnie.

Pod względem organizacyi życia społecznego, rozróżnić trzeba następujące formy, które autor zosobna charakteryzuje: hordę, społeczeństwo rodowe, stanowe, lub kastowe, absolutno-monarchiczne i klasowe; typ społeczeństwa klasowy ma dwa podtypy: społeczeństwo drobno-mieszczańskie i kapitalistyczne.

Osobny rozdział poświęcił autor historyi rodziny i przeglądowi jej głównych form od pierwotnego pożycia nieuregulowanego, przez małżeństwo grupowe (pewna ilość mężów i pewna ilość kobiet) poliandrię, poligamię do monogamii.

W rozdziale o państwie polemizuje z pojmowaniem państwa, jako wytworu walki stanów, lecz wywodzi tę instytucyę z potrzeb społeczeństwa ogólnych n. p. obrony na zewnątrz i wielkich wspólnych prac gospodarczych, jak irygacyi gruntu itd. Nie zgadza się zaś z poglądem Gumplowicza, jakoby wszelki państwowy ustrój początek miał w najazdach i gwałtownem na przemocy opartem regulowaniu stosunków przez zwycięskiego najeźdźcę. Spiera się także ze Spencerem o znaczenie i wartość interwencyi państwa w stosunkach ekonomicznych, twierdząc, że państwo nic zupełnie nowego w tej dziedzinie wprawdzie stworzyć nie może, ale że może korzystać z walki różnych interesów i przez racyonalną politykę niejedno zło usunąć.

Co się tyczy przyszłego ustroju społeczeństwa, to zdaniem autora ustrój będzie nadal państwowy. Są wprawdzie teoretycy — anarchiści, którzy twierdzą, że w przyszłości państwo będzie zniesione, ale autor uważa to za marzenie. Nie ma obawy — sądzi autor – by przez rozszerzenie działalności państwa rola jednostki zanadto została uszczuplona i indywidualizm zatracony, bo przez interwencyę państwa w różnych kierunkach działalność społeczna będzie modyfikowana, ale nie ustanie, ile że zawsze jednostki będą miały interes w działaniu i tylko kierunek tego działania może być różny i ulegać wpływowi władzy kierującej.

Państwo nie pokrywa się z narodowością. Mogą być państwa, obejmujące kilka narodów — może być naród zorganizowany w kilka państw. — Zależy to od różnych czynników, między któremi pierwsze miejsce mają geograficzne i historyczne. — „Narodowość jest związkiem społeczno-psychicznym, ugruntowanym na wspólnej przeszłości, wspólnych walkach z wrogami, wspólnych pojęciach, kulturze, obyczajach, instytucyach, języku, religii itd." Charakter narodowy jest syntezą wielu czynników i dlatego jest stalszy od każdego z nich. Mogą się więc zmienić niektóre pojęcia, tradycye, dążenia, instytucye, a naród pozostanie względnie niezmieniony.

Stawiane przez niektórych uczonych horoskopy zniknięcia różnic narodowych z powodu demokratyzacyi społeczeństw i kultury jakoteż powszechnej międzynarodowej niwelacyi charakterów, są błędne i trącą bardzo doktrynerstwem.

Kultura i międzynarodowa wymiana niweluje i ujednostajnia tylko pozory, charakteru zaś narodowego nie zmienia, nie zaciera Język, literatura, tradycye, położenie geograficzne i towarzysząca kulturze indywidualizacya stoi na straży „narodowego pamiątek kościoła".

Obawy zaś nie ma, by jeden z istniejących, lub nowy jakiś język wyrugował wszystkie inne, bo zatrata języka możliwa jest tylko na bardzo niskim poziomie kultury. Język kulturalny jest względnie wieczny, choć nie bez zmian z duchem jego zgodnych. O tej prawdzie zapominają fanatycy hakatystyczni.

(Dokończenie nastąpi).

Dr. Kazimierz Rakowski.

Przez ciernie i głogi.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

W sieni słychać było głosy obydwóch nauczycieli i głos Korkiewicza. Korkiewicz, porządnie pijany, hałasował strasznie i klął, że go „ten smarkacz kawałka chleba pozbawia". Chwilę naradzali się, potem Müller zbliżył się do drzwi i zaczął coś mówić do Beńkowskiego.

A tymczasem Beńkowski rzucał ostatnie kartki do ognia.

Wtem za jego plecami brzękła szyba. Przez okno parterowe, zbiwszy szybę laską, wchodził Korkiewicz. Jednym susem znalazł się na ziemi i zaczął usuwać barykady, chcąc przedostać się do pieca. Beńkowski spojrzał na dogasający już ogień. skrzyżował ręce i spoglądał z dziwnym jakimś wyrazem twarzy na zbliżającego się Korkiewicza.

A Korkiewicz rozpaczał nad popiołami. Z boku stali Müller i Schulze i nie mówili ani słowa do dawnego swego ucznia. Oczy ich ze zdumieniem błądziły po ścianach, gdzie, jak wieczne świadectwo katakombowej jakiejś kultury, stały szeregi książek. Na grzbietach ich połyskiwały nazwiska Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Kraszewskiego, Szujskiego, Sienkiewicza, Tarnowskiego, Kalinki, Korzona i tyle, tyle innych — a pod nimi z piwnicy, gdzie mieściła się właściwa piekarnia, dolatywały śmiechy czeladników piekarskich i stukot drewnianych niecek od ciasta. I świtała może w głowach Müllera i Schulzego myśl, że książki te, wyparte stąd, przeniosą się jeszcze o jedno piętro niżej, do piwnic — ale że ich zupełnie nikt nie wyprze.

Dla formy wzięli kilka książek do ręki, spojrzeli na tytuł, potem postawili napowrót na półkę. „Przecież nie zabierzemy ze sobą wszystkich tych książek", rzekł Müller do Korkiewicza, który wciąż rozpaczał nad zwęglonemi papierami, a Schulze dodał: to jest rzeczą policyi, nie naszą.

Widocznem było, że Müller i Schulze wstydzili się. Czego — zapewne sami nie wiedzieli: czy tego bladego chłopaka, na którego czole dziwne jakieś bruzdy kreśliła tragiczna śmierć jego ojca, a który stał przed nimi w dumnem milczeniu, jak napadnięty przez bandę zbójów samotny przechodzień; czy też tej drwiącej z reskryptów cesarskich i zakazów ministeryalnych polskiej kulturze, która dziś na swych pionierów pasowała piekarza i gimnazyastę.

Z niesmakiem opuszczali po chwili progi pokoju. A Korkiewicz, który długo się napróżno biedził nad wynalezieniem z popiołów kawałeczka niedopalonego papieru. poszedł chwiejnym krokiem za nimi. Lecz niedaleko uszedł, bo utkwił w położonej naprzeciwko destylacyi.

I w nim się widocznie jakiś wstyd obudził, którego nawet sznapsem zagłuszyć nie było można, bo w kilka chwil potem, idąc pijaniusieńki po ulicy, w kółko powtarzał swym nosowym głosem: „Niech się dzieje co chce — ja jednak jestem świnia!".

IV.

W rozterce.

Panna Mańcia, która w piekarni Rudzkiego sprzedawała pieczywo za kontuarem, niesłychanie przeraziła się niespodziewanem zjawieniem się delegatów władzy rządowej u Stasia Beńkowskiego. Zarówno zjawienie się tych delegatów pod wodzą Korkiewicza, w pierwszych chwilach zachowujących się tak, jak gdyby mieli zamiar zburzyć cały dom, ale nadto nieobecność samego właściciela piekarni, którego wraz z synem zawezwano do policyi, napełniła pannę Mańcię przerażeniem. Pierwszą jej myślą było zamknąć piekarnię i klucze oddać komu, aby tylko nie mieć odpowiedzialności za powierzoną swej pieczy piekarnię: nie wiele też myśląc pobiegła do drzwi i niezwłocznie zapuściła ciężką żelazną żaluzyę. Lecz nie zdążyła jeszcze dobrze przekręcić klucza w zamku, gdy, jak błyskawica, przemknęła jej przez głowę myśl, że w jej kantorku pomiędzy książkami handlowemi leżał jakiś śpiewniczek polski. Panna Mańcia struchlała i w tejże chwili czuła się wielką zbrodniarką, winną wykroczenia przeciw całości państwa pruskiego. „A nuż i u mnie rewizyę odbędą?!" Głośny okrzyk przerażenia wyrwał się z jej piersi na samą myśl o tem i błyskawicznym ruchem wyciągnąwszy groszowy niewinny śpiewniczek z pod stosu książek handlowych, panna Mańcia zbiegła szybko na dół, po schodach, prowadzących z wnętrza frontowego składu do właściwej piekarni i izby czeladnej. Chciała czemprędzej płomieniom powierzyć zagrażającą państwu książeczkę.

Czeladnicy piekarscy, z wesołym śpiewem na ustach, zajęci właśnie swą robotą, usłyszeli wprawdzie niezwykły krzyk panny Mańci, nie przywiązywali jednak do tego żadnego znaczenia, ponieważ panna Mańcia była osobą wielce nerwową i od czasu do czasu na widok pająka, lub kota, urozmaicała sobie pobyt w piekarni przeciągłemi krzykami przerażenia.

„Ot, znowu tam mysz, lub jakie inne licho ją pobudziło do wrzasków" — wyrzekł starszy czeladnik, słysząc krzyk Mańci.

„Zwyczajnie — kobieta", dodał sentencyonalnie niedawno wyzwolony czeladnik, który się starał uchodzić za wytrawnego znawcę płci pięknej.

Zamilkli jednak obaj, słysząc biegnącą nadół pędem po krętych schodach pannę sklepową. Równocześnie prawie doleciał ich uszu niezwykły hałas, który pochodził z uporczywego dobijania się do pokoju Beńkowskiego od strony podwórza.

„Prędzej, prędzej, spalić — to" wyrzekła panna Mańcia, bez tchu prawie stając na dole. Starszy czeladnik wziął do ręki śpiewniczek, który mu podała, popatrzył i z niedowierzeniem kręcił głową a we wzroku jego malowało się pytanie: Zwaryowała, czy co?

„Prędzej, prędzej" wołała panna Mańcia. „Pana Rudzkiego wzięli niedawno temu do policyi, a teraz jacyś przyszli rewidować".

Niepokój, pomięszany ze zdumieniem odbił się na twarzach czeladników.

„Czy pan słyszy, jak się dobijają?! Pan Beńkowski ich nie puszcza! O mój Boże, co to będzie! Ja mam starą matkę, którą utrzymuję z własnej pracy"! — zawodziła panna Mańcia, która wciąż znajdowała się pod wrażeniem, że jeśli ona dostanie się w ręce policyi, to ją przynajmniej na jeden rok więzienia wpakują za każdy raz, gdy z jakim „Sokołem" siekierzyńskim tańczyła na wieczornicy.

„Cicho panna bądź!" ofuknął ją starszy czeladnik i mrugnął na swoich dwóch pomocników, aby poszli z nim na górę. Panna Mańcia nie przestawała zawodzić. „Z babami — to zawsze tak", rzekł niby do siebie młody czeladniczek, idąc za swym zwierzchnikiem do drugiego wyjścia z piekarni, które prowadziło wprost na podwórze.

Czeladnicy Rudzkiego byli zacni chłopcy, rozgarnięci i lubiący czytać. Sprawą narodową interesowali się bardzo i czuli sympatyę ku swemu chlebodawcy; niemniej jednak interesowali się teoryami społecznemi i byli dobrze podszyci socyalizmem. W danym przypadku bez porozumienia się nawet ze sobą, szli na pomoc swemu szefowi z tą pewnością siebie, która cechuje socyalnych demokratów w postępowaniu z policyą.

Weszli do pokoju Beńkowskiego przez drzwi uchylone, jak zostały po odejściu Schulza i Müllera i nie znaleźli nikogo, prócz Beńkowskiego, który — oszołomiony nagłemi przejściami — spoglądał na nich mętnym wzrokiem, jakby ich nie poznając.

Czeladnicy spoglądali to na niego, to na stoły i krzesła w nieładzie. Wreszcie starszy czeladnik zbliżył się do Stasia i kładąc mu rękę na ramieniu, zapytał.

„A co? Byli?"

„Byli", odrzekł Beńkowski.

„Zabrali co?" pytał dalej starszy czeladnik.

Beńkowski w odpowiedzi ręką wskazał na popioły, które w poszukiwaniu manuskryptów rozrzucił przed piecem Korkiewicz.

„I odeszli z niczem?" zapytał znowu czeladnik.

„Z niczem", odpowiedział Staś.

„Dobrze im tak, szelmom" zawołał czeladnik i zaśmiał się, a zawtórowali mu jego towarzysze.

Wtem u drzwi frontowych, prowadzących do piekarni, zamkniętych na prędce przez pannę Mańcię, rozległo się silne kołatanie. Żelazna żaluzya pod uderzeniami pięści, czy laski, czyniła odgłos, podobny do dalekich grzmotów, który rozległ się po całym domu.

Czeladnicy pospieszyli do drzwi, aby stwierdzić przyczynę hałasu, a panna Mańcia, którą z jej ukrycia wybornie można było słyszeć, choć jej widać nie było, donośnym i rozdzierającym głosem krzyczała: „Rany boskie! Już idą po mnie, już idą!"

Tymczasem pokazało się, że człowiekiem, który robił taki hałas był sam Rudzki. Wracał właśnie z policyi z synem, w bardzo złym humorze, i zastał drzwi zamknięte a ciężką żelazną żaluzyę spuszczoną.

Na widok czeladników, którzy nie bez przyczyny odeszli od gorącego pieca, Rudzki niespokojnie zapytał:

— Co się stało?

„Byli tu jacyś na rewizyi u pana Beńkowskiego", odrzekł jeden z zapytanych.

Rudzki się zasępił.

— „A gdzie pan Beńkowski?" zapytał żywo.

— „Jest u siebie" odrzekli czeladnicy.

— „To chwała Bogu", rzekł Rudzki i natychmiast kazał otwierać piekarnię.

Tymczasem grono spore osób zebrało się przed wejściem do piekarni, gdzie odbywała się ta krótka rozmowa. W parę godzin później całe miasto wiedziało o rewizyi, zarządzonej przez władze u Rudzkiego i Beńkowskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Adam Krajewski.

Przyczynek do historyi czasów saskich w Polsce.

(Ciąg dalszy).

Pismo to jest tej treści:

„Nie mogę dość podziwiać pańskiego sprytu, którego pan dajesz tyle dowodów, ażeby króla polskiego nakłonić do pokoju i układów. O ile więc mam powody być z pańskiego działania zadowolonym, o tyle jestem zdziwiony, że pomimo pańskiej niezmordowanej pilności, umiarkowania i szczęścia, niezdołałeś pan pokonać niezawistnych dla mnie zapatrywań drezdeńskiego dworu.

Przyznaję, że było to bardzo trudne do przewidzenia, iż dwór, który sądził się być zmuszonym opuścić swą rezydyncyę, będzie mi stawiał twarde warunki i to właśnie w czasie, gdzie go się otwarcie o jego przyjaźń i pokoj prosi. Nareszcie niech sobie król czyni, co zechce. Ja z mojej strony postępuję na mocy praw wojennych i powtarzam panu raz jeszcze to samo, co pisałem w moim pierwszym liście, mianowicie: że w dniu, w którym król polski układ podpisze, ustaną wszelkie kroki nieprzyjacielskie.

Gdyby orężowi mych nieprzyjaciół było się poszczęściło, to nie wiem, czy byliby się zadowolili wynagrodzeniem wojennem za zniszczone ogniem i mieczem okolice, lecz byliby mnie zmusili do ofiarowania całych prowincyj. Musisz pan przeto przyznać, że moje postępowanie jest bardziej ludzkie, a także i to, że gdy mi szczęście sprzyjało, tak żem mógł zniweczyć nieprzyjaźne zamiary dworów wiedeńskiego i drezdeńskiego, mogę skorzystać z praw, obowiązujących na wojnie w całej Europie. Jeżeli jest prawdą, że król polski chce uniknąć straty i zagłady swego dziedzicznego kraju, to uważam za najpewniejszy do tego środek, iżby przyjął pokój, który ja temu księciu z wszelką szczerością ofiarowuję. Każdy bowiem przyzna, że i bez wszelkich kroków nieprzyjacielskich i bez nieprzyjaźni, ośmdziesiąt tysięcy ludzi w takim kraju, jak Saksonja, może go na długo doszczętnie spustoszyć.

Ja nie jestem winien temu wszystkiemu, co z tego wyniknie i powołuję na świadków niebiosa i catą Europę, ze jeżeli król polski trwać będzie w swej nienawiści, nikt mi za złe nie weźmie, jeżeli z mej strony dopuszczę się ostateczności. Staraj się pan, mój panie, z czystej miłości ludzkiej nie dopuścić, ażeby się dwa sąsiednie domy zniszczyć miały. Bądź pan narzędziem mych zamysłów, tak jak jesteś pan zastępcą mych interesów i ratuj pan Saksonję od tego nieszczęścia i od ostatecznego upadku, jakim jest zagrożoną".

Aneksya Saksonji do królestwa pruskiego, nie leżała w intencyi przebiegłego Fryderyka. Nie dlatego, iżby miał pogardzać pięknym bądź co bądź krajem, i z pewnością nie dla miłości i szacunku dla dynatsyi saskiej, lub osoby Augusta, ale pewniej dla tej przyczyny, że przez zabór byłby podniósł przeciw sobie uległych sobie dotąd książąt Rzeszy niemieckiej, dla których nagły wzrost Prus nie mógł być przecież obojętnym. Jakkolwiek więc nic prawie zaborowi na przeszkodzie nie stało po zalaniu przez ośmdziesięciotysięczną armię całego kraju i zajęciu Drezna samego, jako stolicy, układa się w dalszym ciągu za pośrednictwem oddanego sobie zupełnie ministra angielskiego pana de Villiers. W tydzień mianowicie po ostatnim liście, któryśmy powyżej przytoczyli, już po zajęciu Drezna, w dniu 18. grudnia 1745, wychodzi z tego miasta do pana de Villiers znowu list następujący:

„Mocno mnie zdziwiło, gdy właśnie w dniu bitwy otrzymałem projekt pokoju, a przez ponowne pojawienie się księcia lotaryńskiego w Saksonji, jestem o nieszczerości ministrów saskich aż nadto przekonany. Szczęście, które mi sprzyja, stawia mnie w położeniu postąpienia tak samo i zemszczenia się. Daleki jestem jednakże od takich myśli i to do tego stopnia, że raz jeszcze i to ostatni raz, ofiaruję królowi polskiemu moją przyjaźń. Powodzenie mego oręża nie zaślepia mnie i choć mógłbym być z niego dumny, jestem raz jeszcze zdecydowany przełożyć pokój nad wojnę. Oczekuję, że panowie Bülow i Rex (ministrowie sascy) otrzymają swe pełnomocnictwa, aby hrabia von Podevils, który tu stanie dziś jeszcze wieczorem lub jutro rano, mógł z nimi natychmiast wejść w rokowania.

Równocześnie jednak nie mogę ukryć mego zdziwienia, że *angielski* minister może mi radzić odstąpienie od traktatu, który ja zawarłem z królem, jego panem, a który Wielka Brytania zagwarantowała.

Zobaczyliście raczej mnie i moją armię zniweczonymi, niżbym miał dopuścić do odstąpienia od tego traktatu choćby w najmniejszym punkcie. Jeżeli więc królowa węgierska chce zawrzeć pokój, to jestem gotów go podpisać po myśli konwencyi hanowerskiej; jeżeli go zaś odrzuca zupełnie, to jestem uprawniony do postawienia żądań swoich względem niej jeszcze wyżej.

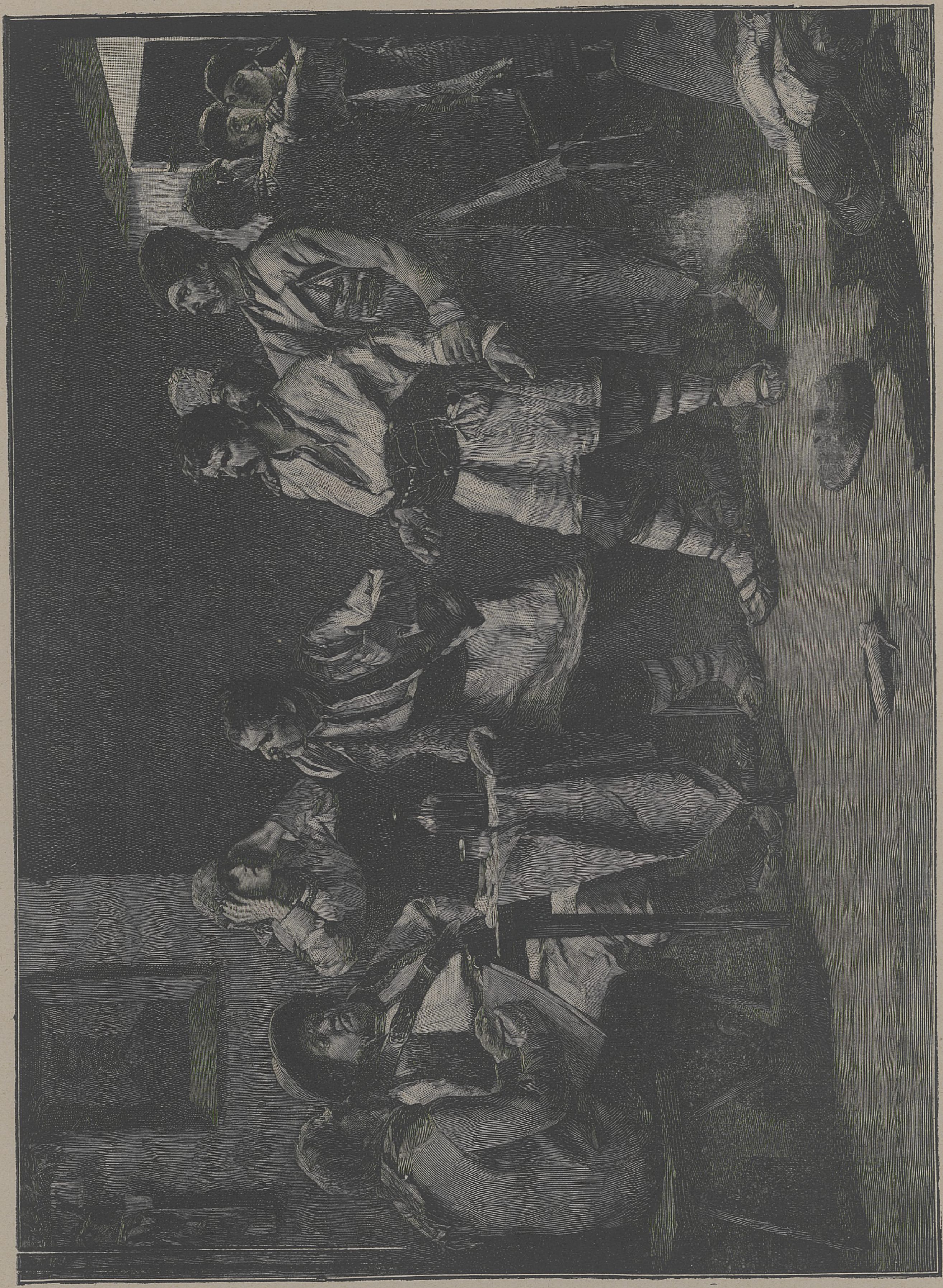
Proszę mi więc donieść o ostatecznem postanowieniu króla polskiego, ażebym wiedział, czy on chce zupełnej straty swego kraju, czy też utrzymania go i przyjaźni zamiast nienawiści; jednem słowem, czy chce jeszcze dalej rozdmuchiwać nieszczęsne zarzewie tej wojny, czy też przywrócić spokój ze sąsiadem i tem samem do uspokojenia Niemiec dopomódz„.

Z powyższego listu okazuje się, że powolny dotąd Fryderykowi de Villiers, wypadł chwilowo z łaski chytrego monarchy pruskiego. Czytelnicy przypomną sobie bowiem, z jakiemi pochlebstwami występywał Fryderyk w listach swych do Villiersa, gdy mu szło o nawiązanie układów z Augustem. Po zajęciu Drezna, zmienił się ton króla pruskiego i forma listu brzmi raczej rozkazująco niż prosząco, a nawet niedwuznacznym jest ustęp, w którym wprost pomawia ministra angielskiego o działanie poza plecyma króla Wielkiej Brytanji,

Ostatecznie w dniu 25. grudnia stanął pokój w Dreznie, mocą którego król pruski uznał cesarzem Wielkiego Księcia Toskany, o czem w dniu 1. stycznia 1746 zawiadamia swych posłów przy dworach zagranicznych.

Po dziesięcioletniej przerwie znajdujemy się znowu u wrót wojny Fryderyka z Augustem. W tym czasie, mianowicie w r. 1756, zawarła Austrya sojusz zaczepno-odporny z Rosyą przeciw Prusom. O tym związku, jak również o zbrojeniach obu mocarstw, zawiadamia on swego posła w Ratyzbonie listem z daty 31. sierpnia tegoż roku. Pragnąc uprzedzić zamiary sprzymierzonych, postanawia pierwszy wkroczyć do Czech; ażeby to jednak mogło mieć miejsce, uważa za nieodzowny przemarsz przez Saksonję, W tym wypadku nie używa już król pruski żadnego pośrednictwa, lecz odnosi się wprost do Augusta i w liście do niego, pierwszym bezpośrednim w całej swej korespondencyi skarzy się na Austryę temi słowy:

„*Pretsch* 1. września 1656. Skłonność jaką miałem do pokoju, tak jest znaną, że wszystko, co mogę o tem Jego Królewskiej Mości powiedzieć, nie wzmocni tego bardziej, jak podpisana przezemnie wspólnie z królem angielskim konwencya neutralności. Od tego czasu sądził dwór wiedeński, że zmiany systemu wytworzą



DONŻUAN WIEJSKI.

przyjazną sytuacyę do wystąpienia przeciw mnie. Chwyciłem się drogi układów, którą uważałem za najlepszą, ażeby usunąć niektóre nieporozumienia, spowodowane przez dwór wiedeński. Pierwsza odpowiedź, jaką otrzymałem od dworu wiedeńskiego, tak jest ciemną i zagadkową, że żaden książę, który dba o swe bezpieczeństwo, nie byłby z niej zadowolonym. Druga była zredagowaną z takim zasobem pychy i pogardy, że każdy książę niepodległy, któremu cześć jego leży na sercu, musiałby się nią obrazić; i jakkolwiek szło mi tylko o zapewnienie, którego żądałem od cesarzowej i królowej, iż ani w tym roku, ani w przyszłych latach, przeciw mnie nie wystąpi, to jednak nie uznano mnie godnym odpowiedzi na to. Postępowanie to zniewoliło mnie do tego, że chwyciłem się innych dróg, aby zamiary moich wrogów uprzedzić. Mimo to, tak z zamiłowania do pokoju jak i z uczuć ludzkich, rozkazałem raz jeszcze memu posłowi w Wiedniu uczynić w tej sprawie przedstawienie, ażeby załatwić spór na drodze pokojowej".

W dalszym ciągu zapewnia król pruski Augusta o swej przyjaźni i poszanowaniu w przemarszu wojsk, tak osobistych dóbr elektora, jak i mienia jego poddanych. (Ciąg dalszy nastąpi).

Mieczysław Srokowski.

WAM!

W czarę przeczystą, nieśmiertelną, białą,
W czarę, rzeźbioną samą ręką Boga,
Wyście czerpnęli kał, dążąc gdzie droga
Powiedzie was przed tłumów rzeszę całą.

A zgóry słońce, tarcz Jehowy złota,
W czarę zhańbioną, ogrom po ogromie
Rzuca brylanty blasków, nieświadomie
Malując tęcze ponad głębią błota!...

I... wyście dumni... Czara wasza żywa
Łka, jęczy, płacze w świętokradzkiej dłoni,
A motłoch wyje: „Patrzajcie! to oni
Wieszczą, gdzie piękno i... głębia prawdziwa.

Za wami został Wirgilich świat zmarły
W dali. — Za wami pozostał już bliżej
Ów cmentarz orłów, co wzlatały wyżej,
Niźli to pojmie myśl wasza... wy karły!...

Lecz w nędzy waszej jest smutku grobowość
I bezświadomy tragizm Don Quichota...
Wy — w czarę piękna czerpnęliście błota
I motłochowi wieszczycie: to nowość...

Runęły orły, strącone z błękitu,
Krwawemi walki — morzem niepowodzeń,
Umarli twórcy duchowych odrodzeń
Apostołowie męczeństwa zaszczytu...

A wy — wy po nich podjęliście czarę,
Z której moc ducha braciom pić dawali
I znikczemniali, ohydni i mali
Niesiecie biedną... marne prochy szare.

Wy — których mroczny duch się wciąż narowi,
Wy — którym rzeźbą są wasze utwory,
Nerwy strzaskane i mózg błędny, chory,
Cóż wy naszemu dacie narodowi?...

Bogdaj z chat kurnych błysnęło zaranie,
Zagrzmiały wielkie wskrzeszenia peany!
A wy — odejdźcie pod kurhan nieznany,
Nim wam zgotują ukamienowanie!

Edmund Kolbuszowski.

Z wierzeń ludowych.

SZKIC ETNOLOGICZNY.

(Ciąg dalszy)

II. ROŚLINY U LUDU.

Z upodobaniem też sadzi lud na grobach drogich zmarłych rozmaryn, a nawet z wzrostu jego tworzy sobie pewne przepowiednie o nieznanem, pełnem tajemnic życiu pozagrobowem zmarłego. Zmarli, na których grobie rozmaryn pięknie się zieleni, rośnie sporo i bujnym okrywa kwiatem, cieszyć się już mają wieczną szczęśliwością, ci zaś, na grobach których rozmaryn jest nikłym, pokutować jeszcze muszą za ziemskie swe grzechy.

Miłość ludu polskiego do rozmarynu jest wielka i porównać ją można z miłością kozaka do kaliny. Jak kozak, umierając, prosi krewnych swych, lub druhów, by mu na grobie posadzili kalinę, tak znów według piosnki, śpiewanej w Lubelskiem, kochanka prosi swego lubego, aby on w razie, gdyby ona pierwej od niego umarła, posadził na grobie jej rozmaryn, a gdy ten zakwitnie, to w kwiatach jego mieszkać będzie jej dusza i mówić mu będzie o jej miłości, która i poza grobem nie zginie. Odmawiają niektórzy ludowi naszemu uczuć piękna i poezyi, czyż może być coś piękniejszem i poetyczniejszem, niż ta transsubstancya duszy w kwiatach, jak to pięknie dobrane porównanie wonnego kwiatu z duszą?

Lud święcie wierzy też w to, że Najwyższy udzielił zmarłym mocy przemawiania i działania z poza grobu za pomocą kwiatów. Wiarę tę stwierdzają bardzo liczne dowody, które dotychczas przechowały się jeszcze w podaniach i pieśniach ludowych. Jedna z najbardziej rozpowszechnionych pieśni na Rusi opowiada o złej siostrze, która, zazdroszcząc bratu majątku i powodzenia, zabiła go i pogrzebała w pustym stepie. Na mogile zabitego wyrosła kalina (według innego waryantu trzcina). Długi czas mijał, a o zbrodni przez siostrę spełnionej, nikt nie wiedział, lecz ta nie wykrytą zostać nie miała. Razu jednego przejeżdżali stepem czumacy, a ujrzawszy samotnie stojące wśród stepu drzewo, spoczęli pod jego cieniem, a jeden z nich wykręcił dla siebie fujarkę. Lecz, o dziwo, fujarka do ust przyłożona, sama zagrała w te słowa:

„Oj, pomału, czumaczeńku, hraj,
Da ne wrazy moho serdeńka w kraj,
Mene sestrycia z świtu zhubyła,
Niż ostryj w serdce moje wstromyła".[1]

[1] Kulisz II. 20—23.

W ten sposób dał zmarły wiadomość o zbrodni, popełnionej na nim przez niedobrą siostrę. Na temat ten znajdujemy wiele waryantów; raz brat zabija brata, a na mogile zabitego wyrasta bez, to znów macocha zabija pasierbicę, a na grobie tejże wyrasta kalina; lub dwie siostry zabijają trzecią, grób zabitej pokrywają mierzwą, mimo to wśród mierzwy wyrasta przecudnej piękności szkarłatny kwiatek i wieści całemu światu o spełnionej zbrodni.

Lecz nietylko dusze podstępnie z tego świata zgładzonych, aby choć pośrednio dopomódz do wyjawienia prawdy, przechodzą w kwiaty, ale i dusze zeszłych ze świata tego nagle, przez różne przypadki, również w kwiatach i drzewach szukają swego spoczynku, a nawet zwłoki tych, których trupa po śmierci odszukać nie było można, przemieniają się w rośliny i drzewa. W jednej z ukraińskich piosnek jest wzmianka o przemianie utopionej dziewicy w płaczącą brzozę. Dziewczę utopione przemawia do brata:

„Ne rubaj bratyku biłoj berezeńki
Ne kosy bratyku szowkowoj trawy
Ne zrywaj bratyku czornoho torniu,

Biła berezońka, to ja mołodeńka
Szowkowa trawa to moja ruża koża
Czornyj torń to moji czornyi oczy". [1])

Ukraińska poezya szczególniej bogatą jest w podania o tych przemianach dusz i ludzi w kwiaty i drzewa i odkrywa przed słuchaczem całą cudowno-fantastyczną wiarę ludu o dalszem życiu duszy ludzkiej w drzewach i kwiatach, o tej dziwnej łączności kwiatu z człowiekiem. Wyżej przytoczoną śpiewkę słyszeć możemy w najrozmaitszych odmianach. Warkocze dziewic ścielą się po łąkach jedwabną trawą, czarne oczy przemieniają się w ciemne jagody, łzy błyszczą tęczowemi barwami po liściach i kwiatach, jako rosa, a krasa dziewicza zmienia się w kalinę. W jednym z waryantów czytamy: płynął brat z siostrą przez morze, brat przepłynął, siostra utonęła; tonąc, rzekła do brata: „Nie pij bracie mój z tego morza wody, nie łów w jeziorze ryb, nie koś na łące trawy, nie łam kaliny i nie rwij w sadzie jabłek, bo woda w morzu to krew moja, ryba to moje ciało, trawa warkocz, jabłko policzki, a kalina to dziewicza krasa. Na Śląsku do tej pory wierzą jeszcze, że gdy na grobie zmarłego kwiat jaki nie posiany zakwitnie, znakiem to jest, że zmarły liczy się już do szczęśliwych w Panu[2]); kwiatem więc daje znak o swej szczęśliwości.

W iluż to podaniach i pieśniach napotykamy przykłady, że dusze kochanków, których ludzie rozłączyli, niebo złączyło po śmierci, gdyż z grobów ich wyrosły kwiaty, dusz symbole i wzajem się połączyły gałązkami, tak jakby kochankowie ramiona swe w miłosnym spletli uścisku.

Pieśń opiewana na Ukrainie i Białorusi wspomina o czule kochającej się małżeńskiej parze, której atoli życie całe zatruwa nielubiąca swej synowej świekra, co nawat śmierć ich przyspieszyła.

Małżonkowie oboje zmarli jednego dnia i na mogile męża wyrósł zielony jawor, na mogile żony biała brzoza.

„A rosły, rosły, da y nachyłyły sia
W hori werszczky zrosły sia.
. . . .
Wyjszła tohdy maty syna pomynaty
Nelubu newistku ta prokłynaty
Stałyż ich mohyły ta prysuwaty sia
Staw jawir do berezy pochylaty sia:
Widmo że wy dity wirneńko lubyłyś
Szczo wasze werszoczky do kupky
[schodyłyś". [3])

Tu także mimowoli nasuwa mi się pod pióro zapisane wśród mych notatek opowiadanie starego żebraka [4]) które według słów jego powtarzam. „Był raz chłopiec i dziewczyna, którzy nawzajem bardzo się kochali. Raz rzekł chłopiec do dziewczyny: „Dziewczę, me lube dziewczę, słuchaj mnie, jutro jest wielkie święto; ja muszę więc iść do lasu uzbierać drzewa, a ty uwij wieniec z kwiatów na jutrzejsze święto". — Tak też zrobili. Chłopiec zbierał drzewo, a dziewczyna wiła wieniec. Naraz uciął się chłopiec w rękę, a dziewczynę ukąsiła żmija i oboje z ran tych umarli. Jemu wykopano grób przed kościołem, ją pogrzebano za kościołem. Chłopiec wyrósł z grobu, jako krzak róży, dziewczę jako winne grono.

Rosły oba krzewy, rosły, aż wyrosły ponad kościół, gdzie gałązki ich razem się złączyły i splotły. Miłość ich połączyła".

W greckiej mitologii także znajdujemy na to przykłady.

Podług podania, ulubiony przez bogów, a wskutek tego znienawidzony przez ludzi, młodzian Libanotos, żyje dalej w rozmarynie. Dzieje kościoła również służyć mogą za dowód, że powszechnie wierzono dawniej w jakiś tajemniczy związek zmarłych z kwiatami.

Na grobach świętych, jak legenda o św. Marynusie, Witaliście i Euzebjuszu mówi, pokazują się kwiaty. Na miejscu gdzie spoczywały zwłoki Niepokalanej Boga Rodzicielki pojawiają się lilje, symbole niewinności. Wśród zimy na grobie Aleksandra i Wiktoryi kwitną róże a z ust nie pomnę już którego świętego wykwitnąć miało pięć róż z literami: MARJA.

Na grobie każdej zmarłej osoby z rodziny wyrasta kwiat inny, jakby miasto napisu dla poznania, czyje zwłoki leżą w tej mogile. Według piosnki śpiewanej w Górnym Szląsku [1]) sierota biedna, którą odumarła cała rodzina, w ten sposób poznaje groby swych osób.

„Ach mocnyż mnie mój Boże,
Gdzież mój tatuliczek
Ach wyrastać już na nich
Zielony trawniczek.

Ach mocnyż mnie mój Boże,
Gdzież ma matuliczka,
Ach wyrastać już na nich
Bieluchna róžyczka".

Na grobie braciszka wyrasta „czerwony goździczek", a nad mogiłą siostry zakwita „czerwona różyczka.

Z zapachu kwiatów razmaryna, któremi zwłoki zmarłych przyozdabiane były, wnioskowano także o pozagrobowym losie zmarłego. Jeśli rozmaryn w trumnie nie wiądł i pięknym napełniał powietrze zapachem, wnioskowano, ze Bóg zmarłemu już przebaczył; w przeciwnym razie mniemano przeciwnie. Wiara ta dotychchzas jeszcze dochowała się w Lubelskiem w całej swej pełni.

Lecz rozmaryn nie tylko jest kwiatem wesela i smutku, jest on zarazem zielem miłości. W Wielkopolsce wierzą, że jeżeli uda się dziewczynie włożyć chłopcu w suknię na piersiach noszoną gałązkę, kwiat rozmarynu, natenczas tenże do niej najgorętszą zapala miłością a nawet „wić się będzie na kształt psa umęczonego u jej nóg". Na Ukrainie gotują dziewczęta tajemnie jego korzeń i wierzą, że w tej chwili mogą sprowadzić do siebie niewiernego dalekiego kochanka.[2])

Służy też rozmaryn dziewczętom do wróżb. Jeżeli posiany w troskliwie pielęgnowanym ogródeczku, pięknie wschodzi i zieleni się, znak to, że dziewczyna wnet za mąż wyjdzie.

„Na tym pańskim moście
Rozmaryjon rośnie
Żaden go tam nie podlewa
On tam nie urośnie.

Ja jak tędy pójdę
Podlewać go będę,
Jeśli się zazieleni
To się żenić będę". [1])

Przeciwnie znów, gdy posiany rozmaryn nie wschodzi, nie zieleni się, lub tylko wątłe i nikłe puszcza łodyżki, znakiem to, że albo dziewczyna jeszcze nią i nadal zostanie, albo że kochanek niewiernym stał się. Skarży się też śląska dziewoja:

Nasiałach rozmaryjonu
On mi nie zeszedł,
Posłałam po kochanka
On mi nie przyszedł. [2])

Rozmaryn jest kwiatem dziewic, bo one najwięcej jego uprawą się zajmują, główki swe weń stroją, dla tego też dziewica, wychodząc za mąż, z żalem żegna go, śpiewając przy zdejmowaniu wieńca:

„Zostań Z Bogiem rozmaronie
Siewałam cię na zagonie
Już cię teraz siać nie będę
Bo już teraz zamąż idę".

Lecz nietylko przypisał mu lud tajemnicze te własności; jako lek przynosić on ma także rozliczne korzyści. Wywarem z niego wymywane wrzody, goją się prędko, słabe oczy potarte kwiatem, napowrót dawną moc swą odzyskują, herbata z kwiatu jego oddala przyroki, wzmacnia pamięć, a według Kolberga w Morownicy (pozn.) święcą go w pierwsze swięto Wielkiejnocy, gdyż w ten dzień poświęcony leczyć ma „postrzał i zaduchę". W Zaborzu, w Rawskiem, używają wywaru z szałwii, piołunu i rozmarynu na kołowacizne u owiec.

U innych ludów nie mniej ważue zajmował i zajmuje on miejsce. Rzymianie wieńczyli nim posągi Larów, a gałązki jego rzucali w ogień palony Bogom na ofiarę. Grecy i Rzymianie używali go również do leków, a według Pliniusza, świeżo przyłożony korzeń leczyć miał rany i gruczoły, sok z całej rośliny żółtaczkę, a liście z miodem, kaszel.

W Belgii dzieci nie przynosi bocian, lecz rosną one w krzaczkach rozmarynu. W północnym mycie poświęconym był on bogom „Fro i Holdzie". W średnich wiekach niemieckie dziewice nosiły na swej piersi bukieciki z rozmarynu, jako znak wierności kochanka, a w przebrzmiałych dziś już „Minnerlieder" wielką odgrywał rolę. W Niemczech również rozpowszechnioną jest wiara, że w wigilję Bożego Narodzenia wszystkie drzewa w rozmaryn się zmieniają.

Szarlatani używali go, jako środka do wzmocnienia pamięci, a znany kosmetyk, aqua reginae Hungariae, który szczególniej przeciw reumatyzmowi dawniej powszechnie był używanym, składał się głównie z destylatu rozmarynu.

Według senników sen o rozmarynie ma być złym znakiem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[1]) Zbornyk pamiat. nar. tworczestwa w siew zapad. kraji. I. 176.
[2]) Roger, pieśni ludu śląskiego.
[3]) Zbornyk pamiat, narod. twórczestwa w siew. zapad. kraji I. 176
[4]) Z okolic Bełza.

[1]) Roger, pieśni ludu szląskiego.
[2]) Morawski. Myt roślinny w Polsce i na Rusi.

[1]) Śpiewane w pow. Rybnickim na Szląsku.
[2]) Śpiewane w pow. Kozielskim na Szląsku.

TADEUSZ STERNAL.

(Z papierów pośmiertnych).

Bez woli — bez winy.

SZKIC POWIEŚCIOWY z r. 1772.

(Ciąg dalszy.)

W miarę gwałtownych słów Parackiego, goście spuszczali głowę coraz niżej: starościc robił to pod wpływem uczucia zwątpienia, które go ścisnęło za serce. Coś, jakby błysk światła, przemknął przez czarne myśli, które zapełniały głowę, ale postać ambasadora i to, co słyszał i widział u niego, zaciemniły ją. Mignęła mu także przed oczyma świetlana postać w polskim stroju, widywana codziennie w mieście, poczawszy od dnia, w którym przybył do Warszawy, aż do wieczora, kiedy ostatni raz przechodził przez prywatne pomieszkanie. Wszystko to, złożyło się na niezłomne postanowienie działania w raz powziętym zamiarze. Powstał więc po długiem a długiem milczeniu i zimnym głosem rzekł:

„Mniejsza o to, kto ma słuszność, panie pułkowniku. Ponieważ jednak obaj niezawodnie przysięgaliśmy na wszystkie świętości, że dopełnimy obowiązków, muszę cię więc uwiadomić, że jeżeli dla ojczyzny chcesz zachować życie, musisz dzisiaj, zaraz, natychmiast, opuścić to miejsce dobrowolnie, lub będziemy musieli użyć gwałtu“.

„Tak, gwałtu“, powtórzył prostując się Szubalski, który ośmielił się nieco, widząc zimną krew przyjaciela.

„Mówicie niezrozumiale“ — rzekł zmięszany nieco Paracki.

„Powtarzam więc wyraziście: Albo dobrowolnie siędziesz z nami na przygotowanego tam konia, albo użyjemy nad tobą przemocy. Wszystko to zaś stanie się dlatego, aby uratować ci życie“.

„Cóż potem?“ — zapytał gospodarz.

„Potem będziemy się we trzech ile możności, jak najdalej trzymać od Warszawy, bo znajdą się dziś zaraz ludzie, którzy ujrzawszy cię, sprzątnęliby cię natychmiast z tego świata“.

O tem Paracki dobrze oddawna wiedział. Począł rozmyślać co ma robić, jak postąpić. Rzekł „Sit voluntas Tua“, prosząc o chwilkę zwłoki, potrzebnej do zebrania się.

IX.

W tydzień potem znajdowali się już daleko od Warszawy. Stało się zupełnie tak, jak przewidywał starościc. Parackiemu nie brakło nigdy pieniędzy, jeździli więc z miejsca na miejsce, czasem przez dzień lub dłużej odpoczywali, a zresztą nie złazili z koni. Co zaś dziwnem się Szubalskiemu zdawało, to poufały, przyjacielski już niemal stosunek między tymi dwoma ludźmi, tak odmiennych przekonań, Adamem a Władysławem. Nie jeździli ze sobą jak dwa wrogi, ale jak dobrzy znajomi, a o polityce rozprawiali swobodnie i często, sprzeczając się wprawdzie, ale nie uważając wcale jeden drugiego za zdrajcę. Adam często kreślił swoje zapatrywania, przejęte naturalnie od ambasadora, a, że mówił z takiem przejęciem się i ufnością w swoje własne słowa, jakie tylko przekonanie o prawdzie stworzyć może, to też Władysław ramionami wzruszał, nie wiedząc, co o tem mniemać. Zwątpienia się i wahania nie okazywał na zewnątrz, pozostał zawsze wiernym konfederacyi.

Dotychczas spotykał stronników Moskwy, których już to zachowanie się, już to — łatwo poznać, że obłudne słowa, odstręczały od nich umysły wszystkie. Zarzucano więc poprostu carowej dziką żądzę cudzego mienia, teraz zaś po raz pierwszy spotkał osobę, która w tajemniczem świetle polityki przedstawiła mu rzecz całą. Tylko o ambasadorze, jako o przełożonym starościca, mowy nie było. To też przez ten pierwszy tydzień pułkownik, jak dziecko. pozwolił sobą rządzić, a myśl tajemnego oddalenia się do Warszawy ani mu przez głowę nie przeszła. Tylko Szubalskiego znieść nie mógł. Rudy ajent widocznie nie miał szczęścia do ludzi, bo w jego obecności ani swobodnie rozmawiać nie potrafił Paracki, ani też wogóle w żadną z nim styczność nie wchodził. Złościło to Juliusza, który obiecywał sobie zapolować na kieszeń Parackiego, a złościło go tem więcej, że na niego w podróży wypadało zająć się podrzędnemi rzeczami, jak wynajęciem koni, wyszukaniem gospody i t. p. To też w pierwszą niedzielę rano, zebrawszy trochę grosiwa, drapnął z gospody, w której stali, bez pożegnania nazad do Warszawy.

Zaraz za przybyciem nie omieszkał zameldować się ambasadorowi i ofiarować mu na nowo swoje usługi. Przyjął go drwiąco, jak zwykle, polecił drobniejsze rzeczy do wywąchania i odprawił go.

Dwaj lepsi tymczasem obudziwszy się i nie zastawszy przyjaciela, niewiele się tem zmartwili, gdy usłyszeli od żyda, że trzeci pan kazał im powiedzieć do widzenia aż w Warszawie. Postanowili jechać do Krakowa, aby, jak twierdził Paracki, na grobach królów zaczerpnąć otuchy i przekonać się o prawdzie tych dwóch patryotycznych kierunków. W drodze pułkownik, nabrawszy zaufania ku nowemu towarzyszowi, opowiedział mu dzieje pobytu swojego w Lanckoronie i pokazał mu pierścień zaręczynowy. Płakał, a starościc milcząc, dziwił się w duszy konfederatowi.

Przybyli do Krakowa, zwiedzili Wawel i zgodzili się, aby w dawnej stolicy przemieszkać czas jakiś. Wynaleźli sobie domek za miastem, trzy dni razem przemieszkali, czwartego dnia Adam znalazł obok łóżka papier, a w nim pierścionek i taki napis:

„Drogi mi mości starościcu!

Chwała Panu Bogu na niebie a Tobie najszczersze dzięki, że dowiedziałem się, ilem grzeszył przeciw Bogu i biednej naszej ojczyźnie, matce Rzeczypospolitej, łącząc się z nierozumną konfederacyą barską. Nie kłopotaj się o mnie, u Pana Boga znajdę już niedługo zmiłowanie.

Zachowaj tylko miłą pamięć o mnie

Władysławie Parackim.“

Starościc długo sobie łamał głowę, co za znaczenie mają te wyrazy, domyślił się wreszcie, że pułkownik poprostu powiesił się, albo z mostu do Wisły wskoczył. Poświadczał to także pierścionek, domyślał się, że Paracki życzył sobie, aby oddać go osobie, do której należał, a nie chciał tego napisać, wstydząc się może wzruszenia przed śmiercią. Po namyśle więc postanowił udać się do wdowy Lackiej. Ciężko mu tylko było z groszem. Ale tłumaczył sobie: u Lackich będę żył zadarmo a potem i na drogę opatrzą. Ruszył do nich.

Gdy dojeżdżał wiejską furą do dworku, o który nietrudno mu się było dopytać, zdawało mu się, że zdala już widzi między drzewami sadu białą sukienkę Anny. Gdyby wiedział, ile tęsknoty, ile miłości zawierało serce dziewczyny!

Postanowił udawać konfederata, uciekającego przed prześladowaniem Moskwy. Przez czas, kiedy bawił w Warszawie, miał sposobność zapoznać się z opinią, że konfederat wszędzie bez pytania przyjętym zostanie otwarcie, a stronnik Moskwy wysilać się musi dopiero na kazanie o wątpliwym skutku.

Jak przy przybyciu pierwszego prawdziwego konfederata, tak i teraz zaszczekał pies, kiedy podróżny wstępował na podwórko. Znowu Pan Bóg kogoś prowadzi — rzekła Lacka do wnuczki, patrząc przez okno — „bodaj, czy nie jaki patryota. bo widzę szlachetną minę“.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ — zagadnął starościc, wchodząc do izby, niezapominając o chrześciańsko-szlacheckim obyczaju, poczem dalej mówił: „Miłościwa Dobrodziko! Przyjmij pod dach swój podróżnego konfederata barskiego“, — twarz Anny oblała się szkarłatem — „który musi uciekać ze stolicy. Pan Bóg wynagrodzi twój dobry czyn“.

Wdowa wstała i westchnęła: „Gość w dom, Bóg w dom, a tem bardziej, gdy zacny konfederat przychodzi, cieszymy się. Usiądź, gościu, pewnieś zdrożony i głodny, znajdziemy cię czem posilić.

W pół godziny potem gospodyni i wnuczka jej wiedziały już, że mają przed sobą oficera barskiego Adama Karskiego, który po bitwie pod Lanckoroną ranny, przywieziony do Warszawy, musiał stamtąd wkrótce uciekać przed Moskalami. Przy tej sposobności przekonał się Karski, że prawdziwe były słowa Parackiego jego o stosunku w domu Lackich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

List z zaścianka.

Jestem w tem szczęśliwem położeniu, że z mego zaścianka na dalekiem i wysokiem przedmieściu położonego, mogę daleko więcej i szerzej widzieć, ogarnąć szersze horyzonty, niż pani Zapolska ze swego okna zamkniętego czworobokiem kamienic placu Dąbrowskiego. Bardzo mi się więc dziwić przychodzi, że pani ta, wielce mi sympatyczna skądinąd, z parterowego okna widzi poprzez dachy, co się dzieje np. we wnętrzu teatru (w kancelaryi p. Pawlikowskiego, a nawet w portmonetce dyrektorskiej), a niechce zobaczyć czegoś bliżej, coś takiego, co bardziej jej samej dotyczy, mianowicie nieeksponowania się i nienarażania niemal codziennie honoru kobiety na ataki rozmaitych kolegów po piórze, przez ubieranie osobistych animoryj w szatę publicznego interesu. Co do mnie, zaczynam przypuszczać, że sama pani Zapolska bardzo temu może niewinna; winna tu może atmosfera, wiejąca z pisma w którem pani Gabryela pracuje, a które zainaugorowało niebywałą u nas przedtem kampanię przeciw czci kobiecej, choćby takiej, której noga się przypadkiem powinęła raz, po wielu latach mozolnej i wydatnej dla młodego pokolenia niewieściego pracy.

Mam tu na myśli niedawny proces szajki złodziejskiej, w który dziwnym zaiste zbiegiem okoliczności wmięszała się osoba ksieni PP. Benedyktynek, matki Columby. Przez parę miesięcy pisma, w których przez „jej“ okno spogląda na świat pani Gabryela, rozciągły na madejowem łożu tortur moralnych cześć biednej, być może zbłąkanej kobiety. Wyśrubowały senzacyę do kulminacyjnego punktu w czasie rozprawy sądowej, bez najmniejszego pożytku a z ogromną szkodą dla społeczeństwa i doprowadziły do tego, także u nas niebywałego momentu, że prosty złodziej z ławy oskarżonych zwrócił uwagę pełną oburzenia, że nie godzi się szarpać publicznie honoru kobiety! Czy kolumniatorzy odczuli ten straszny policzek wymierzony im przez przestępcę, który nie zawahał się przed włamywaniem się do cudzej kasy, a niechciał się bronić kosztem kobiety... Przypomniałem ten fakt tylko dlatego, że pani Gabryela zamiast jeździć po panu Pawlikowskim, winna raczej przejechać się od czasu do czasu po swoich kolegach, a jeżeli to niemożliwe, winna kobieta i to kobieta wyrozumiała na ludzkie słabostki, mitygować ładnem przedstawieniem kolegów swych, że trzeba czasem być człowiekiem, choćby ten człowiek był tylko reporterem...

Kiedy już potrąciłem o teatr, nie od rzeczy będzie mała uwaga, czy my też przypadkiem nie za wiele się tym teatrem zajmujemy i czy zajmując się nim tak bardzo w imię cywilizacyi, nie czujemy mimowolnie upadku na innych polach cywilizacyi. Pozwolę sobie na małe porównanie: upadający Rzym doszedł był także do tego, że było mu obojętne, czy Partowie lub inne barbarzyńskie zastępy wycinały w pień rzymskie legiony; obojętne mu było, gdy zaraza, głód i nędza dziesiątkowały ludność ubogą w wielkich przestrzeniach olbrzymiego imperium, — ale wrzało i kipiało jak w garnku, gdy jeden lub drugi histrjon lub atleta cyrkowy, doznał niepowodzenia, lub na odwrót, zręcznym gestem lub słowem wzbił się na wyżyny chwały. I w starem Bizancyum, stronnictwa cyrkowe „zielonych“ i „niebieskich“ trzęsły tronem, wywoływały rozruchy i imperatorów obalały lub podnosiły na trony. I był to początek upadku... i zniewieściałości. Znamienna to dla nas nauka...

A nauka ta potrzebna mam tem więcej, że upadek ten przedewszystkiem na polu politycznem jest już widoczny. Nie mamy jak Rzymianie i Bizantyńczycy stronnictwa niebieskiego i zielonego, natomiast mamy także dwa: czerwone i bezbarwne. Pod pierwszem szeregują się wszystkie żywioły krzyczące, jak przystało na barwę, pod jaką stoją. Do bezbarwnych, sam już niewiem kogo mam zaliczyć; są w tym obozie tacy, którzy nigdy żadnej barwy ze siebie nie puścili, są i tacy — a takich pono znacznie więcej, których jak wymoczków nie dojrzysz w czystym płynie. Jak bakterye, gdy je wyhodujesz na jakiej pożywce, przybierają dopiero barwę, tak i oni, dostawszy żer, dopiero tworzą jakąś kulturę, zwaną w politycznym języku — frakcyą. Barwa ta niknie, skoro pożywki zabraknie, następuje ponowny rozkład; pożywka zniknie wśród tego rozkładu, i wymoczki zostają dalej wymoczkami, czy bakteryami, jak wam się zresztą podoba je nazwać. Są jeszcze i trzeci, niby różnokolorowi, jak szata arlekina, lub jeszcze lepiej, jak kameleony, zmieniające barwę stosownie do wpływów zewnętrznych. Cechą ich spryt i lekkość arlekina, bezczelność błazna i usłużność lokaja, śmiejącego się po za plecyma pana i patrona.

Już słyszę, jak w duchu pytacie: „A to co za stworzenie? — żali nie widzi żadnych stron dodatnich w naszem społeczeństwie? — żali w tej nieszczęsnej Sodomie niema dziesięciu sprawiedliwych?“ — Może i są — odpowiem — ale my nie żyjemy w czasach Savonarolów, Giordanów i Galileuszów, którzy mieli odwagę iść na stosy za głoszone prawdy. Ogień piecze niemiłosiernie; a my jako postępowi, dzieci 20 wieku, wolimy przez roentgenowskie promienie, które nie parzą i nie pieką, podpatrywać ludzkie słabostki, wyciągać na światło najbrudniejsze instynkty ludzkiej duszy, i lubować się niemi, jak bakterye na pożywce żelatynowej, rozkładać się wraz z nią i nie widzieć nigdzie stron dodatnich. Zamiast sięgnąć na wyżyny myśli, tej świetlannej, promiennej, która jak pochodnia gorejąca oświetla czarną i kamienistą drogę życia, my wolimy jak krety, ryć w ciemnych głębokościach. Czy więc można się dziwić, że jak kretom zanika nam wzrok powoli i powiek do światła podnieść nie możemy?

Wraz z wami schodzę i ja na padół ziemski, i to na ten najbliższy, gdzie się także i losy naszej przykutej do Austryi egzystencyi rozgrywać mają za dni parę!

Wybory! — Oto hasło ostatnich dni. I tu widzę moich czerwonych i bezbarwnych. Z jednej strony krzyk, dochodzący niemal do szaleństwa, z drugiej — nic. Przypatrujemy się spokojnie na pozór, ale z pytaniem w głębi serca: Co będzie? — Do pytających się i ja tym razem należę. Po latach trzydziestu względnej swobody i rozwoju politycznego, bawimy się w Diogenesów; nieśliśmy wśród ludzi latarnię **człowieka** — nie znajdujemy go, bo krzyk zagłuszył umysły, bo znowu niemamy odwagi się narazić... Komu? — Nie pytamy o to wcale, bo zasadą jest nienarażanie się komukolwiek. A potem, stawanie do zapasów wymaga myślenia, a nam po co myśleć. Dawniej u naszych praojców myśl poprzedzała czyn; obecnie dzieje się przeciwnie. Naprzód idzie czyn, a potem — po niewczasie — przychodzi myśl nad tem, że się palnęło głupstwo. I tak jedno głupstwo, wywołane bezmyślnością, wiąże się z drugiem, trzeciem i dziesiątem, aż się zwiąże w jeden łańcuch mocny, opasujący nas kałem, z którego trudno się wydobyć.

Gerwazy Myk.

Bertold Menkes.

Rozmowa.

(Zamiast sprawozdania teatralnego).

— Pozwoli Pan papierosa?

— Proszę. — — — Jakie odniosłeś Pan, panie Grabowski, wrażenie z lwowskiej krytyki teatralnej; niezbyt... grzecznie się z Panem obeszła...

— Ale Panie! Proszę tego, co powiem nie brać do siebie, ani w ogóle do wszystkich krytyków lwowskich. Powiada mazurskie przysłowie: od wołu wymaga się, aby ryczał...

Pauza. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, przyglądałem się żarzącemu się papierosowi i konstatowałem coraz wyższą czapeczkę popiołu.

— Lecz mniejsza o krytyków! Ich sąd najmniej mnie zraża; przejdźmy do innego tematu.

— Dobrze. — — — Pomówmy o...

— moich zapatrywaniach na sztukę dramatyczną. Wiedziałem, że Pan o to zapyta. To wasz ulubiony temat. Otóż, widzi Pan, aby się wyrazić krótko, węzłowato, a dobitnie: pobudkami, środkami, celem sztuki jest **życie**. Nic więcej.

— Wie man lacht und weint im Leben, powiada utarty frazes niemiecki.

— Ot, właśnie to. Sztuka ma dać największe **zbliżenie do rzeczywistego tonu życia**; zawsze i wszędzie domagali się tego ludzie nieprzeczuleni od utworów sztuki. W ten sposób powstałaby „tragikomedya“.

— Tragikomedya... Słyszałem o tem. Herman Bahr, używa tego terminu na określenie najodpowiedniejszej formy dramatu dla tegoczesnego widza. „Eine Komödie, die unser schmerzlich ironisches, gebrochenes Gefühl des Lebens aussprechen und das Tragikomische gestalten soll“.

— Właśnie, właśnie. Bo przy rozwijającej się coraz bardziej pracy mózgowej, a zatem samokrytycyzmu u człowieka, coraz mniej zadawalnia stylowe t. j. jednostronne oświetlenie przedmiotu. A zresztą może to jest początkiem rozkładu cywilizacyi europejskiej, że Brutus jest od nas coraz dalej, a Hamlet coraz bliżej... Sztuka tedy dramatyczna musi być opartą o szeroki, wszystkie przejawy życia obejmujący naturalizm. Przepraszam Pana. Użyłem — bo użyć musiałem w braku stosowniejszego określenia — wyrazu „naturalizm“, który jest u wielu z was, na indeksie. Ale wracając do poprzedniego: zarówno przesentymentalizowanie, jak też z drugiej strony zbrutalizowanie zjawisk życiowych budzi niesmak, zwłaszcza jeżeli płynie ze sceny. Minęły już bezpowrotnie czasy zachwytu nad „stylowością“ i „pozą“. Każda taka naleciałość uchodzi już nawet w oczach mniej krytycznie usposobionego widza za „der fremde Körper“.

— Zgoda. Ale jakaż rola artysty-twórcy w tym wypadku.

— Rola nadzwyczaj trudna. Przed przystąpieniem do napisania dramatu dłuższe **współżycie** ze sferą, którą autor zamyśla obrać sobie na temat, i to celem dokładnego jej poznania. Przystępując do dzieła, musi zebrać rozproszone motywa, postaci, akcye w jedną organiczną całość, wyłączyć z niej elementa niekonieczne, przeszkadzające prostocie i przejrzystości tematu, tak iżby nadał prawdzie życiowej piętno artyzmu. W tem ostatniem działaniu żadne rozumowanie nie prowadzi ręki — ale intuicya, zdolność przyrodzona. To jednak wymyka się poza kresy poznania — to już ta-

jemnica twórczości. — — — Pozwoli Pan papierosa?

-- Proszę.

— — — — — — — — — — —

Konkretnym — przyznaję: słabym przykładem powyższych zapatrywań jest sztuka p. Ignacego Grabowskiego „Rodzeństwo“. Wiem, że zapatrywania te nie są nowemi; ale miasto je wyławiać z „Rodzeństwa“, obrałem drogą pewniejszą: dowiedziałem się o nich od autora samego.

E. Menkes.

TEATR.

„Czerwona toga“ sztuka w 4 aktach przez Brieuxa. (Wystawiona na scenie lwowskiej 5 grudnia r. 1900).

Naprzód treść: W mieście prowincyonalnem. W sferze urzędniczej. Sędziowie, prokuratorowie, ich żony i córki tęsknią jedynie za czerwoną togą. godnością radcy, która im się wydaje najdoskonalszą chorągiewką do zawieszenia na szczycie marzeń i na kresie mozolnych zabiegów karyerowicza. W kwestyach jednak, jak sprawiedliwość, prawo, łatwo można w ten sposób stać się zbrodniarzem idei; miast uczciwego, serdecznego zrozumienia toczących się procesów, kierując się pod osłoną paragrafu jedynie prywatą i współzawodnictwem z kolegami, łatwo dojść do fatalnych omyłek, które gniotą potem ciężkim głazem duszę lekkomyślnego sędziego, gdy przejrzał. Jednak w czasie oschłości i zesztywnienia pojęć rzadkie są chwile, w których budzi się sumienie, a rzadsze jeszcze, w których sumienie to śmie lub może śmiało się objawić. W mieście toczyła się właśnie sprawa morderstwa. Sędziemu śledczemu zależało na wykryciu i osądzeniu zbrodniarza, choćby mu niewinność patrzała z lic, choćby był rzeczywiście czysty. Poszlakom, rzucającym podejrzenie na uczciwego, zamożnego gospodarza Etschepare'a, stara się prokurator jak największej dodać znamion prawdy. Żadne jednak badania, podstępne podejścia, wprost gwałty nie zdołają wymódz zeznania z ust podsądnego. Nie waha się ta utytułowana zgraja nieuczciwych przedstawicieli prawa tknąć i zerwać najgoretsze, najświętsze struny uczuć u obwinionego — byleby litera prawa i kołnierz sędziego znalazły należne uczczenie. Badania wykazały, iż żona podsądnego, matka dwojga, przez ojca ubóstwianych dzieci, uległa przed dziesięciu laty podszeptom uwodziciela-złodzieja. Z tej to wiadomości dalejże kuć strzał, choć kobieta zaklina i błaga o zachowanie jej tajemnicy, gdyż wie, iż mąż prawdy by nie ścierpiał. Rozprawa sądowa kończy się wprawdzie uwolnieniem, a to dzięki mowie obrońcy i zabiegom prokuratora, który w ostatniej chwili, zdeptawszy ambicyę, pod wpływem obudzonego sumienia wszelkich dokłada starań, by swój błąd naprawić. Cóż kiedy w czasie rozprawy wyszła na jaw tajemnica płocho spędzonej młodości żony, a nieszczęśliwy gospodarz, postradawszy mienie swe i dobrobyt wskutek długiego więzienia, widzi nagle swe rodzinne szczęście i duchową pogodę jakby wiatrem zwiane.

Żonę porzuca, wywędruje z dziećmi i staruszką matką w dalekie kraje, za Ocean, gdzie ludzie i jego dzieci o niesławie matki się nie dowiedzą. Żona czeka w biórze sądowem na sędziego, sprawcę jej niedoli. Cyniczne jego obejście wiedzie ją do szału. Wbija mu sztylet w piers.

Psychologię sędziego śledczego Mouzona który jest najwyrazistszym typem podupadłego znikczemniałego dziś człowieka kultury, uznałbym chętnie za znakomitą, a oryginalną, gdyby nieco bardziej była podkreśloną. On to mógłby się stać właściwym bohaterem, gdyby się akcya zbyt nie rozpraszała i, wbiegłszy na tory kryminalistycznej powieści, nie była się w przeważnej części sztuki toczyła w dziedzinie czysto zewnętrznych, dekoratywnych efektów. Ważnym motywem tragedyi w ogólności, w której tz. czarne charaktery, przeciwdziałają szlachetności i uczciwości, jest to, by ów inicyator złego działał za wrodzonym popędem do zbrodni, a przekonawszy się wreszcie o niskości swych instynktów, obudziwszy w sobie świadomość swej lepszej duchowej części, która wykazuje mu ohydę jego postępowania, nie mógł jednak już zawrócić z drogi, na którą wstąpił. Stąd wewnętrzna walka sumienia i charakteru, stąd ból. Zdawało mi się, że Mouzon przeżywa podobną tragedyę, brak jej było jednak wyrazistości.

Znakomite, wstrząsające są chwile, w których Brieux odsłania, lub choćby w nagłych rzutach z grubsza kreśli stany psychiczne Etscheparów. Ta nielitosna, zabijająca prawda, która dzieli serca dwojga kochających się dotychczas istot, wkracza w ognisko domowe i gasi je, oddech nam wstrzymuje i więzi myśl.

Nie zaszkodzą tym szczęśliwym momentom, ni zbędne, a rozwlekłe opowiadania o osobach i zdarzeniach, nie należących zgoła do akcyi, ani to mnóstwo ludzi, uwijających się po scenie bez widocznego powodu, nie posuwających akcyę ani o krok, ani wreszcie cały różnorodny wybór środeczków, mających ułatwić charakterystykę środowiska. Jedynie owa społecznie ważna teza o prawdzie i prawie, które dochodzą do poziomu rzemiosła dla niesumiennych ludzi, a które mogą stać się nawet zabójczym nożem w ich ręku, ma moc tragiczną i z sztuki p. Brieux wybija się w całej pełni.

* * *

W roli Etschepara odznaczył się pan Roman. Cała postać przeniknięta bolem bezgranicznym, bolem czystego, a podejrzeniem schmurzonego serca. Widać, jak w nim z apatycznej uległości zrywa się wściekłość, która daremnie szuka wyrazu. Ponury, zgnębiony, miłością rodziny żyjący, a zrywający z żałością tak głęboką te wątłe więzy domowego pożycia, bo honor i prawda jest jego istoty nieodłączną częścią, choćby nawet trybunał i nieuczciwy sąd stawiał go pod pręgież.

Pani Stachowiczowa miała chwile rzeczywistego tragizmu, wtedy jednak tylko (i to dość rzadko) gdy umiała się powstrzymać od brutalnej krzykliwości, lub sentymentalnej przesady. Łatwo stać się niesmacznym i śmiesznym. Walce duchowej prokuratora, w którym do przełomu przychodzi pierwiastek suchego, egoistycznego pojmowania prawa i tęsknota za czerwoną togą, symbolem niesumiennego karyerowiczostwa. nadał p. Chmieliński głęboki podkład psychiczny i grozę tragiczną. Porywał niekiedy.

P. Solski nie miał w roli Mouzona sposobności do okazania się genialnym, co jednak nie ma znaczyć, by postać ta sędziego nie zawdzięczała właśnie jego artyzmowi swą wyrazistość i uwypuklenie.

Pp. Fiszer, Feldman, Tarasiewicz, Antoniewski, Węgrzyn i pni Węgrzynowa, stworzyli dobre niveau.

Panna Nałęcz była ładna.

Henryk Zbierzchowski.

MUZYKA.

Koncert Tow. muzycznego.

Od instytucyi tak poważnej, jaką jest Tow. muzyczne, utrzymywane subwencyą krajową i wkładkami sporej liczby członkow, mamy prawo wymagać dwu rzeczy: doborowego programu i jak najlepszego jego wykonania. Obecny dyrektor p. M. Sołtys zrozumiał to zadanie i ułożywszy przepiękny program, rad był i wykonaniu jego nadać cechę artystycznej doskonałorci. Program objął tego razu same tylko utwory orkiestralne, albo wcale u nas jeszcze nie znane, albo dawno już nie grane. Uwertura Schumana do Manfreda, utwór o wybitnej charakterystyce mglisto-filozoficznej, jakim jest i dzieło, które ma przygotować, — nigdy u nas nie grany poemat symfoniczny St. Saensa, o którego znakomitej twórczości w tym kierunku wiedzieliśmy zaledwie nieco z ogranego aż do znudzenia „Tańca szkieletów“ — wreszcie wesoła VIII. symfonia Bethoveena, poruszająca się we wszystkich 4 częściach w samych tempach tanecznych, toć wiązanka samych arcydzieł. Za taki wybór musimy p. Sołtysowi wyrazić zupełne uznanie.

Że wykonanie nie wypadło tak jakbyśmy to byli chcieli, nie wina to już dyrektora, ale stosunków czysto lokalnych. Zamiast znakomitej obecnie orkiestry teatralnej, którą usiłował dyrektor do produkcyi powołać, a której mu zresztą zupełnie słusznie odmówiono, musiał on pójść za tradycyą czasów dawniejszych i poruczyć wykonanie programu orkiestrze, złożonej z członków o zupełnie nierównomiernem wykształceniu. Widzieliśmy na estradzie zespół instrumentów, liczebnie zupełnie prawidłowo ułożony, a jednak.. W zespole tym na czele pierwszych skrzypiec zasiedli prof. Wolfsthal, Słomkowski i najlepszy skrzypek wojskowy z drużyny kapelmistrza Rolla. To też za przykładem mistrzów pierwszego szeregu podążyli z całym pietyzmem młodzi skrzypkowie dalszych rzędów i tym sposobem we wszystkich numerach skrzypce pierwsze czystością co do intonacyi, cieniowaniem i rytmem, sprawiły się dzielnie, wchodząc bardzo pięknie w intencye kompozytorów, interpretowane z całem zrozumieniem przez dyrygenta. Niepozostawiały też wiele do życzenia kontrabasy i wiolonczele. Natomiast mocno chromały skrzypce drugie i altówki, które skłopotany dyrygent często utrzymywać musiał w karbach taktu i dynamiki. Instrumenty dęte i per kusya w rękach muzyków wojskowych, profesorów Towarzystwa i pp. dyletantów nie zawsze nas zadowalały. I tak n. p. w drugiej części symfonii dawały klarnety prześlicznemu motywowi, odegranemu przez skrzypce pierwsze pianisimo z całą subtelnością i maestryą, stanowczo za silny dwutonowy podkład. A już wcale źle wypadł moment, odegrany przez waltornie rażąco fałszywie. Natomiast zaznaczyć należy z idealną czystością i dyskrecyą odegrane ustępy, przydzielone w partacyi oboi.

Na ogół wrażenie koncertu całego bardzo dobre, co stwierdzały częste i szczere oklaski muzykalnej publiczności. Okazuje się, że przy dobrej woli, wytrwałej pracy i wielkiej muzykalnej inteligencyi dyrektora, można i przy tak niekorzystnych warunkach wiele zrobić.

* * *

Sprawozdanie z Rigoletta (występ p. Marek i p. Szymańskiego) z braku miejsca odkładamy do przyszłego numeru.

Właściciel i wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Feliksa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha 1. 5.